

TYGODNIK WILEŃSKI

N^o 62.

Dnia 21. Stycznia 1817 roku. v. s.

SPEKTATORA ANGIELSKIEGO N. 558.

*Qui fit, Maecenas, ut nemo, quam sibi sortem
Sed Ratio dederit, seu Fors obiecerit, illa
Contentus vivat? laudet diversa sequentes?
O! fortunati mereatores, gravis annis
Miles ait, multo jam fractus membra labore.
Contra mercator, navim jactantibus austris,
Milivm est potior: quid enim? concurritur: horae
Momento cita mors venit, aut victoria laeta.
Agricolam laudat juris legumque peritus,
Sub galli cantum consultor ubi ostia pulsat.
Ille datis vadibus qui rure extractus in urbem est,
Solos felices viventes clamat in urbe.
Caetera de genere hoc (adeo sunt multa) loquacem
Delassare valent Fabium. Ne te morer, audi
Quo rem deducam. Si quis deus, En ego, dicar,
Jam faciam quod vultis: eris tu, qui modo miles,
Mercator: tu, consultus modo, rusticus: hinc vos,
Vos hinc mutatis discedite partibus. Eja,
Quid statis? Nolint. Atqui licet esse beatis.*

Hor. Sat. I. 1. 1- seqq.

NAŚLADOWANIE NARUSZEWICZA.

Czym się dzieje Meceno, że każdy w swym stanie,
 Czy go sam sobie zrządził przez wolne obranie,
 Czy mu ślepy wyrzucił los z niepewney szali,
 Krzywem nań patrząc okiem inne tylko chwali?
 Szczęśliwyś Panie Kupiec, mówi kresowaty
 Wyga żołnierz, ciężkimi obarczony łaty.
 Przeciwnie Kupiec gdy mu wicher łamie sztaby;
 Bodaj to człek za młodu mieszkał między draby!
 Wielkaż to! nuże dziatki, do flinty, do szabli
 W punkcie albo zwyciężył, lub go wzięli diabli.
 Żyć na wsi, wola jurak, to to sprawa święta!
 Kiedy o kuro-poiu słyszy pacyenta,
 A on z fascykulami u drzwi mu się szasta,
 Lecz i wieśniak, gdy go sąd wyciągnie do miasta,
 Ze dał za niesłownego porękę sąsiada,
 Sami tylko mieszczenie szczęśliwi powiada.
 Chcąc zliczyć jak są różni w życiu malkontenci,
 J w gębie u Wiewła język się wykręci.
 Moc ich niepoliczona: żeby cię nie bawił,
 Słuchaj: gdyby tu taki bożek się postawił,
 Mówiąc; o to już dość woli waszey macie,
 Ty jurze, zostań chłopem, ty kupcem, żołdacie.
 Żywo: szabla na łokieć, cep na dokumenty!
 Ty na wieś, ty na roczki, a ty na okręty.
 Nie chcą... ..

SŁAWNA to jest myśl Sokratesa, że gdyby
 wszystkie niedole od ludzkości nieoddziel-
 ne, zniesione zostały na jedno publiczne
 miéysce, a równy ich podział między ludźmi
 miał nastąpić, najnieszczęśliwsi dzisiay

w swoim przekonaniu, woleliby przecie zostać przy własnych dolegliwościach, które ich już trapią, niżeli się spuszczać na ten rozkład niepewny. Horacyusz w wiérkach tu na początku za godło przywiedzionych, daléj tę myśl posuwa, twierdząc, że gdyby nam pozwolono wymienić umartwienia nasze na cudze, te któreśmy porzucili, jakkolwiek nam uprzykrzone, okazałyby się nam w końcu zawsze znośniéjsze od nowo nabytych.

Témi myślami cały zajęty, siedząc w moim poręcznym krześle, usnąłem nieznaocznie, gdy rychło zdało mi się, że wyszedł od Jowisza wyrok, aby się wszyscy ludzie uwalniali od frasunków swoich, i znosili je razem do jednéj gromady. Wyznaczoną im została na ten koniec szeroka równina. Stałem w jéj środku i z niemalą radością widziałem bliźnich moich śpieszących zewsząd, i pozbywających się jeden po drugim ciężaru trosk i utysków swoich, które niezwłocznie urosły w ogromną górę tak wysoką, że się zdała sięgać obłoków.

Kształtna niewiasta, dziwnie lekka i żywa, w całej téj uroczystości była niezmiernie czynna. Niosła w jednéj dłoni szkło powiększające, a odziana była długą ulotną szatą. Mnóstwo dziwotwornych postaci i straszków wyszytych na niéj snuło się i nastrecało oczom widzów w tysiącnych rozmaitościach co raz to nowych za każdym powiewem wiatru, który ją unosił.

W twarzy miała coś obłąkanego i gwałtownego: zwała się *Imaginacya*. Przewodniczyła przychodniom na wyznaczoną równinę, każdemu wprzód pomógłszy usłuźnie do upakowania ładunku, i wzięcia go na barki. Bolało mi serce na widok tylu podobnych mi istot uginających się pod ciężarem kłopotów, i utrapień, których tak ogromny stos wzniesiony, wyrażałem przed mojami oczyma.

Wielu jednakże z pomiędzy przychodzących było, których ładunki nie mało mnie zabawiły. Jeden niósł pod starym haftowanym płaszczem ukryte pudełko, i gdy je wrzucił do gromady, postrzegłem w niem ubóstwo — Drugi zmęczony, zgięty pod ciężarem, ledwo dyszący dźwigał na plecach tłómk, cisnął, i uciekał, a była to jego żona.

Szły też mnogie roje rozkochanych nieszczęśników ojuczonych swemi prawdziwie uciesznymi pakami, pełnemi grotów i płomieni. Dziwna rzecz, wzdychali jak utrapieńcy, powiedziałby kto, że się im serce rozpadnie, pod natłokiem ich cierpień, ale nie mieli dość mocy do rozstania się z niem. — Ledwo się zbliżyli do stosu, a uczynili jedną drugą bez-silną próbę do zrzucenia ich z siebie, ruszyli smutnie głową i powracali z ciężarem, z którym przyszli — Widać było wiele letnich babinek, co rzucały swe marszczki, młodek pozby-

wających się swéy smaglawości — Wzniósł się spory pagórek nosów rubinowych, ust szerokich, zębów czarnych — Dziwiło mnie prawdziwie, że nayznaczniéysza część góry urosła z ulomności ciała. Postrzegłem jednego zdala, szedł obaroczony brzemieniem nierównie, jak mi się zdało, pakowniéyszym, pudło które dźwigał, wysoko się nad barkami wznosiło i wyglądało nad głową, nie mogłem się zrazu domyślić, coby to było, gdy się przybliżył, uyrzałem garb duży, który nosił od urodzenia, a rzucał go teraz z niewymówną pociechą. — Zostawiono, prawda, wiele chorób wszelkiego rodzaju, lubo zaraz na piérwszy rzut oka widać było, że mnogość urojonych przechodziła daleko rzeczywiste. — Nadewszystko mały tłómoczek godzien był zastanowienia; rzucający mienił go zbiorem, naydotkliwszych boleści, naturę ludzką trapiących; była to zaś *sledziona*. — Lecz co mnie naybardziéy zdziwiło, że w całym tym ogromie, ani jednego występku, ani jednego głupstwa ludzkiego niepostrzegłem rzuconego do kupy, tym więcéy, gdy na początku wyobraziłem był sobie, że teraz każdy będzie mógł korzystać ze sposobności, i zbędzie się tu swoich nałogów, namiętności i przesądów. — Zbliżył się okrzyczany Utracyusz, burda, nie wątpiłem, że upakował swoje psoty, ale ściągnąwszy dłoń do tłómoka, który rzucił, zamiast występ-

ków, znalazłem we środku tylko ich pamięć, która go trapiła. Towarzyszył mu nie godny oszust, cisnął o podał od siebie skromność, zamiast co miał rzucić bezczelność.

Kiedy tym sposobem cały rodzaj ludzki, pozbywał się swoich dolegliwości, zwinna niewiasta, która w tém zdarzeniu tak pilnie się krzątała, ledwie mnie zoczyła spokojnie stojącego widza tego dziwowiska, pośpieszyła ku mnie skwapliwie. Zmieszałem się za jéy zbliżeniem, gdy nagle przymknęła mi do oczu zwierciadło, które niosła; uyrzałem w niém twarz moję; a nie proporcjonalna jéy szerokość i krótkość, wydała mi się tą razą z taką szpetnością i do tyła mnie obrazila, że w pierwszym uniesieniu, rzuciłem ją od siebie jak maskę. Szczęściem stojący obok mnie mój sąsiad, rzucił w teyże chwili twarz swoją, która mu się wydała niezwyczajnie długa. To prawda, że długość jéy była nie pospolita, i bez przesady mówiąc, sama broda równała się całej mojęj twarzy. — Tym sposobem mieliśmy zaraz na miéyscu łatwość naprawienia u siebie wad, które nam ciążyły; zwłaszcza gdy po złożeniu wszystkich cierpień do gromady, ogłoszoną została wolność wyboru, i zamieniania jednych niedostatków na drugie. — Ale z tego powodu, tyle rzeczy nowych do widzenia mego przybyło, że przymuszony jestem

koniec jego odłożyć do następującego Numeru.

Addisson.

Prawdziwa umiejętność bardziej w nas zaszczenia pokorę, aniżeli pychę.

Pokora zwyczajnym jest sławnych ludzi przymiotem. Wyniosłość jeniusza, do tak wysokiej doskonałości ich doprowadziła, iż postrzegając niepodobieństwo osiągnięcia jéj w zupełności, uznają siebie za słabych i ułomnych. Apelles, jeden ze sławniejszych Malarzy w starożytności, lubo náydoskonalszym w ów czas był w swéj sztuce; z przekonaniem nawet o swojéj u Naroda reputacyi, jednak zawsze kładł u dołu swych obrazów wyraz *faciebat*, dla pokazania, iż powątpiwał o ich doskonałości. Na trzech tylko z dzieł swoich śmiał położyć wyraz *fecit*, z pomiędzy których obraz Alexandra Wielkiego zdaje się wszystkie inne przewyższać. Z dzisiejszych zaś Artystów (jeżeli są warci tégo nazwania) za ledwo który odrysuje *obieg* (*) lub wymaluje jakikolwiek *twarzobraz*, (**) do takiego stopnia swą pychę posuwa; iż śmie krytykować tych, których ani setnéj cząstki doskonałości nie dopiął, czyli, abym prawdę powiedział, ani się mu ona zamarzyła. Nayprawdziwszą

(*) Contour. (**) Portrait.

przyczyną tego bydź sędzę: niedostatek światłych i biegłych w téy sztuce Artystów, którzyby okazawszy z przekonaniem ich błędy, tudzież pokonawszy ich dziką zawziętość, i uporczywość ziemnego i nieokrzesanego umysłu, dowiedli; iż nie są warciowych Malarzów, którzy się zatrudniają bieleniem pokojów.

Spodziewam się, iż żądaniem jest Publiczności, aby przy wzroście innych nauk, i sztuki piękne jakikolwiek tymczasem postęp brały. Czyż podobna, aby Polska mając Rodaków mężnych, walecznych, kochających swą Ojczyznę, doskonalących wszelkie nauki, miałaby i takich, którymby natura odmówiła owéy zbawiennéy chęci i pałania ku sztukom pięknym!! — Niechby się więc znalazł jaki ku nim gorliwy, któryby nam dał znać o istotnych potrzebach do zaprowadzenia w naszym kraju, a okazawszy wynikające z nich pożytki; wlał tego ducha w Naród, aby z czasem Polska stała się podobną innym Narodóm

Do JP. Redaktora Tygodnika Wileńskiego z Bieniun Roku 1816. dnia 27 Maja v. s.

W powiecie Oszmiańskim o mił 4 na południe miasta powiatowego Oszmiany, w dole między górami wznoszą się rozwaliny starego zamku *Krewskiego*, siedlisko niegdyś du-

my, próżności, morderstw, męczarni ludzkiey, dzisiaj smutnych ptaków i nieużytecznych gadów; lubię patrzeć na podobne przedmioty, imaginacya zaraz samą starożytnością uchwycona, przy ponuręj cichości takowym miéyscom właściwéy, przy jęku żalósnym i przerywanym ptaków, świstaniu wiatrów przedzierających się przez gruzy porosłe mchem i chwastem, wynosi człowieka ze stanu obecnego, rzuca w przepaść starożytności, i zdaje się wystawiać snujące się cienie bohaterów, rządzących losami ludów im podległych, lub przywaleni sami dumą, zawiścią, próżnością, jęczących w łańcuchach, albo konających odrazów zabóyczey ręki. Rzucając tę smutną ustron, zawolałem... O! ludzie w cóż się wasza wielkość w biegu nie zwrótnym czasie zamienia? *Vanitas vanitatis et omnia vanitas.* Powróciwszy do Bieniun majątku JP. Józefa Karczewskiego Regenta i Adwokata Powiatu Oszmiańskiego, o milę od Krewa na zachód leżącego, przy dosyć licznym jak na miernego szlachcica zbiorze książek, znalazłem kronikę Strykowskię, z której następujące wiadomości o Krewie przeczytałem. „Gedimin W. X. Litewski dzieląc swe Państwo między syny, *Olgierdowi* „*Krewo* zamek, którego się Xięstwo rozciągało aż do Berezyny rzeki ku wschodowi słońca przeznaczył, aże *Olgierd* wszedł w związki z Kniazim Ruskim *Witep-*

„skim, poymując jego Córe jedynaczkę
„*Uliannę*, posiadł więc całe Xięstwo Wi-
„tepskie, które z Xięstwem Krewskim
„dziedziczył.” (f. 407.)

„Jagiello, mając klótnie ze stryjem
„Geystudem poymawszy go zdradziecko
„w Wilnie, téyże nocy łańcuchami okowa-
„nego posłał do Krewa, gdzie nad wodą
„do smrodliwéy wieży wrzucony, i mocną
„stażą był osadzony. Piątéy potym nocy,
„tenże Geystud Gedyminowicz Xiąże prze-
„sławne, dzielne, mężne, w fortelach i
„w staczaniach bitew przeważne, przemy-
„ślne, bo i z więzienia niemieckiego trzy-
„kroć poymany w różnych bitwach, trzy-
„kroć fortelem uszedł, a czwarty raz z Pol-
„skiego więzienia ubiegł, drugi Achilles
„Hektor, Ajax, Ulisses, i Herkules Li-
„tewski i Żmudzki, udawion jest na Krew-
„skim zamku w wieży murowanéy z roz-
„kazu Jagiellowego.

„Podobnież syna Geystudowego Wi-
„tołda zesłał był Jagiello do Krewa, gdzie
„go pod uczciwą, ale bardzo twardą cho-
„wano strażą, bo żadnego sługi niemógł
„mieć, tylko żonie jego Xiężnie Annie
„z dwiema Pannami dozwolono było cho-
„dzić. Ta gdy dowiedziała się od straży,
„iż takaż śmierć Witolda męża jéy potkać
„miała jako i Geystuda Oyca, iż już na
„to byli sprawcy od Jagielly przysłani,
„wnet téyże nocy niemającego brody mę-

„ za, przebrawszy w odzienie jednę panny
„ wyprowadziła go z sobą, a panna w o-
„ dzieniu jego w wieży Krewskiéy zosta-
„ ła. (*) Potym spuściwszy się Witold z blan-
„ ków Krewskiego zamku po powrozie, i
„ dostawszy od życzliwych przyjaciół koni,
„ uciekł do Mazowszy około roku 1300. „

Umyśliłem jeszcze raz obéyrzeć ten inte-
ressujący dla nas zabytek, jakoż ze strony
północnéy znalazłem małe okienko obwa-
rowane żelazną kratą, słabe tylko wpuszcza-
jące światło do ciemnego lochu, w którym
zapewne został zamordowany Geystud, a
Witold heroicznym sposobem uwolniony;
część północno-wschodnia zamku rozwalona,
daje widziéć kręcone wąskie wschody,
aż do naywyższego piętra, które nieco jest
potynkowane i upiękrzone, był to zapew-
na pokóy Xiążęcia Krewskiego i Witepskie-
go Olgierda; ze strony południowéy w pod-
łużny kwadrat wysokie wznoszą się mury
dotykające się zamku, a znaki zewnątrz
tych murów pokazują, jak wysoko oblewa-
jąca je na około woda wznosiła się, okienko
z północy w dole samego zamku znajdowa-
ło się nad wodą; nie opodal ze wszystkich
stron tych rozwalin, nie łoremnie wznoszą
się góry i pagórki, w dole ze strony półno-
cnéy, leży małe miasteczko *Krewo*, zabrudzo-

(*) Zdarzenie podobne jakie się niedawno przytrafiło w Paryżu
z Generałem Lavalette.

ne żydami, a na górze za miasteczkiem ze strony północno-wschodniéj nie dokończony murowany parafialny kościół.

Mam honor zostawać...

W..... F..... K.....

BYTNOŚĆ BOGA.

Rzuć człeku oczyma,
Na to co jest w koło ciebie,
I powiedź czyż nima,
Wieczny istoty na niebie?...

Jakż to ślepcota

Ciemną zasłoną twój umysł zakryła?..

Czemu powiadasz, że Boska istota,

Nie jest... nie będzie... i nigdy niebyła?...

O! nędzny prochu! istota niestała!

Tyż się śmiesz targać na wiecznego Boga?...

Na twé bluźnierstwo ziemia drży cała...

I czyż cię straszna nie przéymuje trwoga?...

Zadrzay śmiertelny! padłszy na kolana,

Zadrzay! zwróć oko na twé przyszłe losy,

Zwróć oko nędzné na wielkiego Pana,

Którego tronem, ziemia i niebiosy!...

Zkąd to, co widzisz przed sobą powstało?

To słońce, .. gwiazdy, .. i xiężyc bladawy?...

Wszystko od Boga początek swój miało!...

On tylko jeden, wszechmocny! łaskawy!...

Ziemi przestrzenié okiém nieścignioné,

Dziwné żywiołów i roślin układy,

Wszystko od Boga wiecznego stworzoné,

Wszystko dobroci Wszechmocnego ślady!....

Powiedź mi czemu, słońca promienié,

Ciąglé na niebios świecą przestrzenié ? ...

Czému się ziemia trwałé obraca ,

Dzień się przedłuża i skraca ? ...

Kto tén porządek nadaje ?

Kto rzucił gwiazdy na przestrzenié nieba ? ...

Komu tę władzę przypisać trzeba ,

Ze w swym obrócie nic nie ustaje ? ...

Istota mądrá ! ... wieczná ! ... nieskończona ! ...

Tworząca światy ! ... sama niestworzoná ! ...

Co nigdy początku nie miała ,

Chciała to ǳiałać , ... i udziała.

Czemuż ty w nędzný ślepié ,

Nie chcesz przyznawać bytu téy istocie ?

Czemu od ciebie moc jéy zaprzeczona ,

I dobroć nieskończona ? ...

Wyrzyj nieszczęsny w siebie ,

A Bóg , co wiekuje w niebie ,

Bóg litościwy !

I dobrotliwy !

Kiedy przed nim upadniesz z pokorą głęboką ,

Rzuci na ciebie miłosierdzia oko !

Platon Sosnowski.

Z A C M I E N I E.

Od skrzepléy lodem krajiny ,

Do tych , co się słońcém żarzą ,

Wy ! narodów liczné gminy ,

Przed wszechmocnégo padaycie twarzą.

O to drzy nieba posada ,

Noc światem włada ,

Głos się jakiś wznosi ,

Na przestrzenia świata,
Aniół bystrym pędem wzlata,
I wszechmocnego moc głosi.

Sluchaycie ludy! sluchaycie narody!

Miasta i grody,

Co Bozka moc cała

Zdziałała!

Już słaby promień ciska Xiężyc blade,
Tocząc się chyżo po nieba przestrzeni,

Nie poruszony z swojej posady,

W tysiąc się wieków nie zmieni.

Lecz... co za okropność sroga,

Nagle się rozlega?...
Czemu bojaźń i trwoga

Lotnym pędem świat przebiega?...
Cóż za widok w oczy bije?...
Co ta znaczy czarna chmura?...
Xiężyc się w cieniu kryje,

Lotnym pędem świat przebiega?...
Cóż za widok w oczy bije?...
Co ta znaczy czarna chmura?...
Xiężyc się w cieniu kryje,

Co ta znaczy czarna chmura?...
Xiężyc się w cieniu kryje,

Xiężyc się w cieniu kryje,

Kirém się czarnym odziała natura!....

Straszliwą się wzmacnia burza,
Xiężyc się w cieniu zanurza,

A w téj srogiéj ruinie,

Nurzy się... kryje... i ginie...

Nurzy się... kryje... i ginie...

Zniknął w ciemności... strach mé siły niszczy...

Zniknął w ciemności... strach mé siły niszczy...

Padam... padam... mdleję...

Lecz!... jakież to promyk błyszczący,

Błyszczący i światłość sieje,

Wzrasta coraz i świetnieje?...
Ciemną zasłona spada,

Swiatłość z cienia powstaje,

Twarz Xiężycyca blade,

Słaby promień daje....

Słaby promień daje....

Cóż to za dziwy?... O! Ty wieczny Boże!

Ty Pan! ja nędzny, istota śmiertelna!...

Twojéy wszechmocnéy prawicy moc dzielná,

Co chce udziałać, to udziałać może....

Rzekłeś: niech będzie .. jak chciałeś tak było,

I w biegu wieków nic się nie zmieniło.

Kazałeś słońcu świecić .. błysnęło ..

Kazałeś gasnąć .. gasnęło.

Rzekłeś: niech Xiężyc błyszczyc, ... Xiężyc światło niecił. ...

Rzekłeś: niech gaśnie... nie świecił. ...

Platon Sosnowski.

DO PRZYJACIELA.

Wiem iż młodość ten wiek złoty,

Nam stek rozkosz ukazuje;

Gdzie ta wiosna swemi loty,

Tysiąc chęci przedstawuje,

Nie prowadząc nas do Cnoty.

Przyrodzenie ofiaruje

Wszystkie w ten czas nam pieszczoty,

Lecz gdzie mądrość przepisuje,

Nie znajdujem tam ochoty:

Wszak to tylko nam smakuje,

Co nas mami, ale O Ty!

Przyjacielu, niech ci każe,

Mądrość zawsze te przymioty,

Którym rozkosz twa folguje,

Które warte są sromoty.

Jako Maytek z swéy roboty,

Którym morze powoduje,

Dumny iż wie wszystkie zwróty ;
Lecz gdy tamto zaszurmuje ,
I swe burza spuści groty
Już się w ten czas odwołuje ,
Gdy doświadczy jego psoty :
Tak też młodość nas popsuje ,
Gdy nie mamy dosyć cnoty .

Przebóg ! jakże ten szczęśliwy ,
Co unika zgiełku świata ,
Przyjacielu mój cnotliwy ,
Wiedź iż smutna w nim zapłata ;
Ja mu nie szlę hold fałszywy ,
I myśl moja stąd ulata .
Ma spokojna miła chata ,
Przedmiot szczęścia ten prawdziwy ,
Którę burza nie skołata ,
Świata , który swemi dziwy
Uczestnika w sidła wplata ,
Nietknąć co mu uporczywy .
Oddal język ten zdradliwy ,
Co niewinna kryje szata
Którym śmiałek niegodziwy
Włóczy sławę swego brata :
Niechay nigdy tam bogata ,
Nie omamia cię szkarłata ,
Gdzie rozkoszy będziesz chciwy .

Leonard Trojanowski.

Dozwala się drukować z warunkiem przedstawienia do Komitetu sześciu egzemplarzy dla miéjsc przeznaczonych. Dnia 19 miesiąca Stycznia roku 1817.

G. E. Groddeck Prof. Ord. Czł. K. S.